Nro 9. R. 1837. PONIEDZIAŁEK 21 SIÉRPNIA.

ZBIÉRACZ
LITERACKI I POLITYCZNY.

MISSYJONARZ.
POWIÉŚĆ.

I.

W końcu ulicy *St. André des Arts* w Paryżu stał roku 1724 dom na cztéry piętra, bardzo skromnéj powiérzchowności. Przekupka sprzedająca jarzyny zajmowała dół, a jéj kosze tak dalece wnijście do domu zapiérały, że czyńszownicy zaledwo przecisnąć się mogli. — Niedogodność ta nie była jednak dla miészkańców zbyt wielką, ci bowiém po większéj części wychodząc rano, dopiéro wieczorem powracali. Bylito najwięcéj uczniowie, słuchający medycyny lub prawa, a którzy siedząc po całych dniach w kawiarni, z przyjaciółmi gwarzyli; wreszcie miészkał tam komisant z księgarni, urzędnik z ministeryum skarbu, i malarz. Przeto większa część okien, wychodzących na ulicę, była prawie zawsze zamkniętą, wyjąwszy jedno na czwartém piętrze, należące do pomiészkania malarza. Co rano, o godzinie 8méj, skoro artysta odszedł, widziano otwiérającém się to okno i pokazywała się w niém młoda niewiasta w stroju porannym, trudniąca się różnémi robotami gospodarskiemi: to trzepała dywan z podłogi, to podléwała krzaczki róż w wazonkach, które u okna zieloną firankę zastępowały. Potém zamykało się okno, by się znowu w pół godziny poźniéj otwarło, i znowu widać było młodą niewiastę, siedzącą w czystym, skromnym czépku i w skromnéj sukience. — Aż do godziny piątéj trudniła się ona robotami, i ani pomyślała o tém, by zaglądać na dół na zgraję osób, snujących się po ulicy; czasami tylko podniosła głowę i powąchała różę. Niekiedy zapominała na chwilę o swojéj igle i zapewne jakaś przyjemna myśl zatrudniać

ją wtedy musiała, bo na czérstwém jéj licu radosne malowało się wzruszenie, a oczy zaléwały się łzami. Lecz skoro na stojącym na kominie zégarze z alabastrowémi słupkami godzina piąta wybiła, młoda niewiasta rzucała robotę, odstawiała wazonki z okna, by lepiéj przezeń się patrzéć i z wielką uwagą poglądała na ulicę, ażeby z daleka już pomiędzy tłumem ludzi tego rozpoznać, którego z taką niecierpliwością oczekiwała. Nagle powionęła chustką, a na znak ten odpowiedział podobnym znakiem młody, rzadkiéj piękności mężczyzna, spieszący szybkim krokiem ku domowi. Nie minęło chwil kilka, a już młody człowiek biégł prędko po wschodach na czwarte piętro, gdzie go oczekiwała owa ładna młoda niewiasta, która z zapałem pocałowawszy go, uścisnęła po kilkakrotnie. Potém wszedłszy oboje do pokoju, usiedli przy skromnéj wieczerzy. Gdy była pogoda na dworze, młode małżeństwo szło na przechadzkę, najczęściéj do Luxemburga. Padał-li dészcz, to małżonek czytał głośno książkę, a małżonka haftowała lub szyła. — Tym sposobem młodzi małżonkowie prowadzili życie pełne pracy, miłości i szczęścia, któré wielą troskami i wielą ciérpieniami okupili. Długo bowiém ojciec młodego Franciszka Boucher nie chciał zezwolić, by syn jego żenił się z dziewczyną bez majątku, i potrzeba było długiéj wytrwałości, długich próśb i łez niezliczonych, za nim otrzymano jego pozwolenie, od którego los małżonków był zawisł. Nareszcie ojciec dał się zmiękczyć tylu prośbami i od tego czasu młodym małżonkom szło według życzeń, jak gdyby los chciał ich za tyle doznanych ciérpień wynagrodzić. Młody malarz bywał często zajęty i już wsławiać się zaczynał. Sam król Ludwik XV. kazał kupić obraz u niego, lecz dzién, w którym małżonkowie tę radosną otrzymali wiadomość, większém jeszcze odznaczył się szczęściem. Ludwika została matką; słyszała piérwsze kwilenie dziécięcia, i trzymała na ręku lubą, małą istotę, swoje ukochane dziecko, które miało teraz trzynaście miesięcy, a które mamka nazajutrz przyniéść miała. Jakiegoż jeszcze nie dostawało jéj szczęścia

mając syna i małżonka? Jakież jeszcze mogła miéć życzenie, będąc z żon i z matek najszczęśliwszą? — Szybko zerwała się dnia tego, skoro godzina 5ta wybiła i pobiegła do okna, wyglądać przyjścia małżonka. Za kilka minut spostrzegła go z daleka, ale gdy go poznała, wnet jakieś niepewne, jakieś bolesne przeczucie wygnało radość z jéj serca. Boucher nie szedł tą razą z ową radosną skwapliwością, z jaką zwykł był zawsze do żony swojéj powracać; kroczył powoli i laską się podpiérał. Doszedłszy nareszcie do drzwi swojego pomiészkania, byłby upadł zemdlony, gdyby go była Ludwika nie wstrzymała, która drżała na całém ciele na widok bladości, okrywającéj pomiészaną twarz tego, którego nad życie kochała. — «Cóżcito Franciszku?» — «Nié wiém, Ludwiko; dreszcz zimny przechodzi po wszystkich moich członkach i piersi mi ściska. Nié mogę oddéchać. Otwórz okno, by mnie cokolwiek świéże powietrze owionęło. Głowa mi pała..... chciałem pracować, ale pęzel wypadł mi z ręki. Nié mógłem paletu utrzymać; ćmiło mi się w oczach, a kolana drżały podemną... Dokąd idziesz?» — «Chcę pójść po lékarza, kóchany Franciszku. Nasz nie daleko z tąd miészka, niebawem powrócę.» I pobiegła po wschodach; lecz wróciwszy z lékarzem zastała Franciszka leżącego bez przytomności na podłodze, i za pomocą lékarza, płacząc, zaniosła go do łóżka. — Gdy po długim czasie i wielu ze strony lékarza usiłowaniach, Franciszek Boucher do siebie przyszedł, wybadywał go lékarz o wszystkie jego ciérpienia i sam przeląkł się tak wielkiém niebezpieczeństwem. — «Czy jest jakie niebezpieczeństwo?» zapytała płacząca Ludwika, na twarzy lékarza czytająca aż nadto wyraźnie wrażenie, jakie na nim stan jéj męża sprawiał. — «Niebezpieczeństwo? nie, nié ma żadnego; przynajmniéj tak się spodziéwam, ale należy pani uzbroić się w odwagę i wytrwałość. Dobra noc. Jutro jak najraniéj przyjdę znowu. Tymczasem niech pani według przepisanéj recepty postępuje.» — Odszedł, a Ludwika sama jedna została z mężem, który w febrze gorączkowéj od rzeczy mówić

zaczął. W istocie, bardzo wiele ten ciérpi, kto chorując doznaje gorączkowych wzruszeń umysłu, komu ciało i duszę tysiączne dręczą mamidła, ale dziesięćkroć okropniéjsze czuje ten katusze, kto siedząc przez noc całą u łoża ukochanéj osoby, zmuszony jest słyszéć jéj krzyk i jęki, jakie ciérpienia wyciskają. Straszliwą jest ciemność, która nas wtedy otacza. Czegoby się nie dało za to, by wtedy choć głos ludzki, by choć szmer żyjącéj usłyszéć istoty! Ale wiatr tylko świszcząc, jęczy jak ciérpiąca dusza; nic nie słychać, krom przerywanych słów chorego, który martwym rzucając wzrokiem, nikogo nie poznaje i który na zadawane mu w trwodze zapytania, innéj odpowiedzi nié ma, jak tylko serce rozdziérające jęki boleści. Noc taka jest okropną, a jéj długość zdaje się bydź bez końca. Można sobie przeto wyobrazić, co biédna młoda niewiasta przy swoim małżonku uciérpiała! Mogłaż wiedzieć, czyli ów ledwo słyszalny oddéch, który się z piersi jego wydobywał, nie był ostatniém tchnieniem jego życia, nie był zwiastunem śmierci! Cóżby się z nią stało, gdyby ją cios taki spotkał!... «Frańciszku, Frańciszku! (wołała) słuchaj mnie! Na Boga! zaklinam cię, nie patrz tak na mnie! Odpowiedź! Ja to jestem, Ludwika, żona twoja! Frańciszku! Nie poznaje mnie. Boże spraw, ażeby mnie poznał, bo jestto rzecz okropna dla biédnéj żony widzieć męża w takim stanie, że ani głosu mojego nie słyszy, ani na moje słowa, choćby tylko uściśnieniem ręki, nie odpowiada.» — Nareszcie piérwsze promienie poranku błysnęły przez okno do pokoju, a po milczeniu śmierci i nocy nastąpił hałas i ruch dnia. Lékarz dotrzymując przyrzeczenia, już o szóstéj przybył do chorego; atoli lubo był tak bardzo przyzwyczajony patrzéć obojętnie na ciérpienia, przeląkł się wszelako bladością Ludwiki i zgubnémi skutkami, jakie na nią przeszła okropna noc wywarła. — Zbadawszy stan chorego, rzekł lékarz: «Niech pani się uspokoi. Noc była okropną, wiém o tém, ale spodziéwam się, że więcéj podobnéj nie doznasz. Mąż pani ma się już lepiéj, a powrotowi gorączki lékarstwami się

zapobiegnie. Z resztą niech pani nie wysila zbytecznie troskliwości swojéj i nie wszystkie zaraz w dniach piérwszych wyczérpuje środki. Choroba męża długo się zapewne pociągnie. Chciéj więc oszczędzać siebie, byś i daléj pielęgnować go mogła.» Stary lékarz, ścisnąwszy przy tych wyrazach z czułością rękę młodéj małżonki, oddalił się z domu. — Chory usnął spokojnie. Ludwika już teraz zapłakać mogła, a to sprawiło ulgę jéj ciérpieniom. Naraz pewna myśl przyjemna rozpogodziła twarz jéj i uśmiéchnęła się do niéj jak promiéń słońca, który się przedziéra przez ciemne chmury śród burzy. Myślą tą był powrót jéj dziécięcia. Mamka miała je dnia tegoż przyniéść ze wsi. Biédne dziecię pod smutną wróżbą przybywasz do ojcowskiego domu; ale matka twoja będzie cię miała przy sobie, całować cię będzie, a przez to samo znajdzie pociechę w swych troskach. Frańciszkowi widok dziécięcia może ulgę sprawi. Ojciec, choćby miał nawet obłąkanie umysłu, nié może być na głos dziecka swojego obojętnym. Jeźli znowu od rzeczy mówić zacznie, młoda małżonka weźmie Karolka i położy go w ramiona ojca, a pewnie na ten widok rozchmurzy się zasępiony rozum jego. — Te były jéj myśli aż do chwili, gdy przez okno, od którego co minuta odbiégała patrzyć, co się ze śpiącym chorym dzieje, ujrzała idącą mamkę z dzieckiem. Na ten widok zapomniała o wszystkich nieszczęściach, o ciérpieniach i troskach, a radość, którą tylko matki czuć mogą, napełniła jéj serce. Śmiejąc się i płacząc zarazem, zaniosła Karolka na łóżko ojca, który spokojniéj obudziwszy się, ku synowi mdłą rękę swoje wyciągnął. — Ludwika, padłszy na kolana, wzniosła ku niebu wzrok podzięki i macierzyńskiéj radości.

II.

Ah, owa noc nieszczęśliwa byłato piérwsza kropla gorącego ołowiu, który niegdyś oprawcy powoli na głowę skazanego na śmierć sączyli. Nędza z dniem każdym, z każdą chwilą przyniosła dla politowania godnéj Ludwiki nowe troski i nowe ciérpienia. — Tak gdy choroba Frańciszka Boucher już trzy tygodnie trwała, Ludwika

starała się razu jednego nadaremnie w małéj kuchence swojéj utulić płacz dziecka, które na zęby chorowało. — «Cicho,» wołała na dziecko, «krzyk twój obudzi ojca, twojego dobrego ojca, którego długa noc bezsenna tak chorym, tak osłabionym uczyniła. Uspokój się moje lube dzieciątko!» — Huśtała je na rękach, ogrzéwała własnym oddéchem, przyciskała do piersi, zamykała usteczka całusami, lecz biédne dziecko wijąc się z bolu w rękach matki, wydawało krzyk, że aż się serce krajało i niczém uspokoić się niedało, nawet jadłem, które mu Ludwika podawała. Odwróciło twarz, oboma rączętami odpychało łyżkę z pokarmem, a duże łzy, jak perły, spływały po jego rozognionych policzkach. Rozpaczająca Ludwika zwątpiła na chwilę, iż tyle ciosów wytrzyma, i łzy gorzkie wyléwać zaczęła. — «O Boże!» wołała, «czyliż nade mną nié masz miłosierdzia? Cóż się ze mną stanie, gdy ty mnie opuścisz?» A po modlitwie dodała: «Dzięki ci Boże! wysłuchałeś modłów moich, bo dziecko usnęło.» — Karolek spuścił w istocie główkę swoję na piersi matki i cichém snem spoczywał. Ludwika nie śmiała najmniéjszego zrobić poruszenia. Wstrzymywała oddéch i byłaby chętnie wstrzymała bicie swego serca, gdyby to w jéj mocy było.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

———

SZLACHETNE PODÉJŚCIE.

———

Pan D.... przed kilką miesiącami zmarły w Paryżu wekslowy ajent, założył się o znaczną summę z panem B.... bogatym kapitalistą tutéjszym na słowo honoru. Ostatni udał się nie dawno do wdowy piérwszego uwiadomiając ją: iż jéj mąż założył się z nim o 16,000 franków; ponieważ zakład przegrał, chciał się dowiedzieć czyliby mu takowe zwróciła, gdyż umowa między niemi tylko słowną była. Pani D.... nienamyślając się wcale udała się do biórka a gdy zaczęła pieniądze liczyć, wstrzymał ją pan B.... témi słowy: Ponieważ Pani mniemasz że ten zakład był ważnym, proszę przyjąć 16,000 franków, gdyż to ja przegrałem.

———

POLITYKA.

Francya. *Paryż* 13 Siérpnia.— Jedno z tutéjszych pism donosi, iż Piemontczyk Ferand dla braku dostatecznych dowodów został za granicę pod strażą odprowadzony. — Kuryer francuzki pisze: Przedłużający się pobyt Jussufa Bej w Paryżu, w chwili gdy wyprawę do Konstantyny przygotowują powszechne zadziwienie obudza. Nie tylko, iż się tym sposobem dobrowolnie użytecznego wpływu w Afryce pozbawiają, ale nadto w przeszkodach wyjazd jego tamujących spostrzegać się daje niewdzięczność, jakiéj się dopuszczają przeciw człowiekowi, który armii francuzkiéj tyle przychylności świadczył. Czyżby rząd chciał tym sposobem panowanie swoje w Afryce ustalić? Zdaje się, iż się obawiają czynności Jussufa, i niechęci jego ku Achmedowi Béj, gdyż dotąd nie tracą nadziei doprowadzenia do skutku ugody z ostatnim. — *Bajona* 10 Sierpnia. Wyprawa jenerała Guergé weszła do Segovia. Cytadella 200 do 300 ludzi osadzona poddała się. Karoliści postępują ciągle ku Guadarramo. Zdarzenia te nie wyrwały szkodliwego wpływu na stolicę. — 6go rozeszła się wiadomość w Saragozie, iż jenerał Espartero w tajném porozumieniu z Don Karlosem, przedsiębierze pojednanie wojny prowadzących stron. Cabrera gdy się o tém dowiedział, obstawał przy zerwaniu takowych układów. — *Bajona* 12 Sierpnia. Donoszą z Madrytu pod d. 8 b. m. Na mocy rozporządzenia królewskiego, Madryt ogłoszony jest za będący w stanie oblężenia, z powodu bliskości Karolistów, którzy atoli po wzięciu Segowii i téjże cytadelli nie posuwają się dotąd ku stolicy. W Madrycie panuje spokojność. Na wczorajszém posiedzeniu Kortezów broniono bardzo ministeryum i podany przeciw temuż wniosek 76 przeciw 53ma głosami odrzucono. Mimo to jednak, przynajmniéj częściowéj modyfikacyi ministeryum spodziewać się można.

Hiszpania. *Madryt* 4 Sierpnia. Korpus Karolistów 10 do 12,000 ludzi wynoszący, który się do Kastylii dostał zwraca swój pochód ku stolicy. Polityczny naczelnik Segowii doniósł wczoraj rządowi, iż wojsko Zariateguja i Uranga wraz z krążącemi oddziałami Villareal i Merino, przy Roa przez Duero przeszły. Oczekują ich za

parę dni przy Segowii, która tylko przez 300 żołnierzy i 500 gwardzistów jest broniona, z tego powodu naczelnik żąda pomocy i dodają, iż wielu mieszkańców zamierzają miasto opuścić. — Przed kilku dniami przybyły tu francużki pełnomocnik, hrabia Latour Maubourg, miał wczoraj długą rozmowę z P. Calatrawą. Dziennik *Castelano* pisze: Głównym celem wyprawy Karolistow do Kastylii, zdaje się być zwrócenie uwagi części wojska ściągającego Don Karlosa, aby się tenże z trudnego położenia w jakim się obecnie znajduję wydobyć mógł. Niedziwi nas więc, iż krążące oddziały z różnych stanowisk zdają się ku Madrytowi ściągać, i spodziewamy się, że rząd nie zmieni nic w wydanych rozporządzeniach i ile tylko będzie można wyszle wojska przeciw Don Karlosowi, aby stanowczem uderzeniem, wojnę zakończyć.

6 Siérpnia. Położenie staréj Kastylii nabawia nas obawą, gdyż rządowi zbywa na piéniądzach, dla wysłania dostatecznéj do obrony téj prowincyi potrzebnéj ilości wojska. Pospólstwo jest zupełnie za Don Karlosem, a obydwie nowe wyprawy nie doznały żadnego oporu. Jeden batalion i szwadron pozostały w Sierra de Burgos, na obronę Junty Kastylijskiéj, na czele tychże, jest mnich Augustynianin.

Portugalya. *Lizbona* 29 Lipca. — Uwięzienia trwają tu ciagle, gwardya narodowa pozwoliła sobie nawet przytrzymać adjutanta księcia Ferdynanda, barona de Campanhal, przed oknami J. K. Wysokości. Przy moście Alcantare napadł go lud, i byliby go zamordowali, gdyby siła zbrojna nie była w pomoc przyszła. Książę posłał drugiego adjutanta hrabiego de St. Leger na odwach, w celu uwolnienia tamtego, ofiarując własne zaręczenie, jako się tenże stawi na każde wezwanie, lecz nieprzyjęto takowego, i barona w wieży w Belem zamknięto.

(G.P.S.)

Pismo to wychodzi trzy razy w tydzień to jest: w PONIEDZIAŁEK, ŚRODĘ i PIĄTEK o drugiéj po południu. — Zaliczenie kwartalne na 36 Nrów wynosi Złp. 6 i przyjmuje się w handlach Wych Kocha i Schreibera.

W Krakowie Czcionkami Józefa Czecha.